



ZAWOŁANI PO IMIENIU

DR WOJCIECH KOZŁOWSKI, DYREKTOR INSTYTUTU PILECKIEGO

Nikt nie zadbał o pamięć o tych, którzy zginęli, wspierając Żydów. Ich poświęcenie nie zostało dotychczas nawet docenione. Nie tylko stracili bliskich, ale ci bliscy, a w konsekwencji i oni, wypadli poza główny nurt narracji o Polakach pomagających Żydom.

ZACHOWALI CZŁOWIECZEŃSTWO

W Dlaczego dzisiaj trzeba ich wszystkich zawołać po imieniu?

naczej ich imiona przepadną. To jedna z najbardziej niedostrzeżonych grup polskich ofiar II wojny światowej, a zarazem ludzie, którym jak mało komu należy się nasz szacunek. Wśród Polaków, którzy ratowali Żydów, dziś pamiętani są ci, których historie kończyły się happy endem – kogoś uratowali, ten ktoś zgłosił ich nazwiska do Jad Waszem, dostali medal i zostali Sprawiedliwymi wśród Narodów Świata. To wspaniale, że są docenieni, że udało im się kogoś uratować, przy czym na pewno ponieśli też wielkie koszty. Jednak ci, którzy próbując ratować Żydów, zginęli z rąk Niemców, bardzo często nie spełniają kryteriów, by otrzymać drzewko w Jad Waszem. Izraelski instytut przy podejmowaniu decyzji zdecydowanie preferuje żydowskich świadków. A tacy potencjalni świadkowie w olbrzymiej większości przypadków ginęli na chwilę przed Polakami, którzy próbowali ich ratować. I ci Żydzi też często byli bezimienni – nawet ratująca ich rodzina z powodu konspiracji mogła nie znać ich imion i nazwisk. Przez to „Zawołani” wypadają poza ramy systemu – nie dość, że sami zginęli, to ich poświęcenie nie zostało dotychczas nawet docenione.

I w jaki sposób można ich teraz docenić?

Chodzi o dwie rzeczy: wciągnięcie tych ludzi do naszej pamięci zbiorowej o II wojnie światowej i oddanie im symbolicznej sprawiedliwości. Skazano ich na śmierć decyzjami policyjnymi, bez sądu. Ich rodziny zostały często rozproszone, domy spalone. Charakter zbrodni skazał ich na zapomnienie, a pamięć o nich przetrwała jedynie w rodzinach. Wołając ich po imieniu, chcemy symbolicznie anulować wyrok śmierci wydany przez Niemców. Nie godzimy się z tym, że człowiek ginął w tak brutalny i dziki sposób, rozstrzelany za stodołą i pochowany pod gruszą. To nie sposób, w jaki my traktujemy śmierć człowieka.

I po to są te kamienie z tabliczkami stawiane ku ich pamięci, by symbolicznie na nowo ich pochować?

Dobrze to pokazuje historia rodziny Budziszewskich. Konstanty, brat Wacława, którego upamiętniliśmy we wrześniu 2019 r. w Nurze, nigdy nie miał grobu brata, który mógłby odwiedzać. 18-letni Wacław, by uchronić rodzinę, wziął na siebie odpowiedzialność za Żyda, których Niemcy znaleźli u nich w gospodarstwie, mówiąc, że to on ich przyprowadził do domu na noc i jeszcze nie zdążył o tym powiedzieć rodzicom. Został zabrany na gestapo, skatowany i wysłany do Stutthofu, gdzie po miesiącu zmarł. Konstanty Budziszewski dorastał w rodzinie, która nie miała grobu syna, miała to, to gigantyczne wyrzuty sumienia, bo zgodziła się na to,

by Wacław oddał za nich życie. Nie da się tego naprawić, ale ten kamień to pierwsze miejsce, które Konstanty może odwiedzić, by chociaż wspomnieć brata.

Są jednak ofiary, które mają groby.

Oczywiście, bywało tak, że ciała ekshumowano i przenoszono normalnie na cmentarz. Dla ich rodzin taki kamień ma inny wymiar. Zawołanie po imieniu ich bliskich i przywrócenie im sprawiedliwości to nadanie znaczenia temu, co się wydarzyło przed prawie 80 laty. Wiele z tych rodzin, czyli dzieci, które widziały egzekucje swoich rodziców lub widziały, jak Niemcy wyciągają ich z domu, nosiło w sobie przez całe życie pytanie, czy to aby na pewno była dobra decyzja. Czy to ma sens, że rodzice przyjęli pod swój dach Żyda, których nawet nie uratowali, za to wraz z nimi zginęli, a ich dzieci zostały sierotami.

Pewnie każdy na ich miejscu by się nad tym zastanawiał.

Oni stracili wszystko, a często przez całe życie nikt im nawet nie powiedział, że decyzja ich rodziców miała sens, była coś warta. Obserwując ich reakcje na upamiętnienie rodziców, widzę, że to coś, czego im wewnętrznie strasznie brakowało. To ważne, że po latach zostali wreszcie dostrzeżeni, że w ogólnopolskich mediach opowiadane są ich rodzinne historie. I to opowiadane z takim przesłaniem, że im dziękujemy – że Polska im dziękuje. Bo te opowieści pokazują, jak bardzo ofiara przodków łączy się z dalszymi losami ich rodzin. Poznając je, odkrywaliśmy z czasem, że mają one bardzo podobne doświadczenia. Nie tylko stracili bliskich, ale ci bliscy, a w konsekwencji i oni, wypadli poza główny nurt narracji o Polakach pomagających Żydom. Nikt nie zadbał o pamięć o tych, którym się nie udało. I te kamienie mają pokazać, że ich bliscy naprawdę mogą być dumni ze swoich przodków, z ich postawy, że zachowywali człowieczeństwo w sytuacji, gdy system totalitarny postawił wszystko do góry nogami. To jest dobrze pokazane na naszej wystawie.

Ludzie byli prawnie zobligowani do czynienia zła.

Tak, gdyby pan się dowiedział, że ja przechowuję w domu Żyda, i nie doniósł o tym Niemcom, to groziłaby panu za to śmierć. Każdy, kto gdzieś we wsi ratował Żyda, stwarzał ogromne niebezpieczeństwo dla ludzi dookoła. Dlatego to były tak trudne decyzje. Poznając historie tych, którzy zginęli, lepiej możemy zrozumieć prawdę, która dotychczas słabo wybrzmiewała: Niemcy stworzyli w Polsce sprany system terroru i zastraszenia, który paraliżował międzyludzką solidarność, rozbijał wspólnoty, alienował ludzi. To świat, w którym nie było możliwości masowej pomocy Żydom. Nie musielibyśmy dziś mówić



GRZEGORZ KAROSZKA

o heroizmie pomocy Żydom, gdyby nie okrucieństwo Niemców względem Polaków. I w tym kontekście nie można porównywać Polaków do Holendrów, Belgów czy Francuzów, dla których konsekwencje za pomoc Żydom były nieporównywalnie łżejsze. I tu nie chodzi nawet o prawne rozwiązania, że za ukrywanie Żydów grozi kara śmierci. Chodzi o praktykę, a dowodem na to, jak wielki strach przed Niemcami panował za okupacji, są właśnie historie „Zawołanych”. Pomoc Żydom oznaczała zagrożenie dla całej rodziny, a także dla lokalnej wspólnoty. A świadomości tego dziś nie ma – ani na Zachodzie, ani nawet u nas w Polsce.

Jak te stawiane kamienie odbierają lokalne wspólnoty?

Te historie zaczynają w tych wspólnotach żyć na nowo – mówią o nich, rozpoznają, wciągają jako element własnej historii, jako coś, co jest usankcjonowane przez państwo polskie jako słuszne i godne. Środowiska lokalne przejmują opiekę nad odsłoniętymi kamieniami. One wyznaczają naturalną przestrzeń dla uroczystości 24 marca, czyli w Narodowy Dzień Pamięci Polaków ratujących Żydów pod okupacją niemiecką. Stają się miejscem do spotkań z niemieckimi partnerami, ale też z żydowskimi wycieczkami – staramy się o to, by jadąc do Treblinki, zahaczyły one także np. o Sadowne, zobaczyły taki kamień, usłyszały ludzką historię, by ich mapa pamięci o Holokauście była pełniejsza. Ale to bardziej problem relacji polsko-niemieckich niż polsko-żydowskich, więc naszym wielkim planem jest sparowanie polskich i niemieckich szkół, by ich uczniowie wykonywali wspólne projekty, spotykali się przy kamieniach, dyskutowali o oporze wobec totalitaryzmu, o tolerancji, odwadze cywilnej itd. Generalnie – o tym, co to znaczy być przyzwoitym człowiekiem.

I rzeczywiście Niemcy zaczynają się w ten projekt angażować, ambasador RFN pojawił się nawet na otwarciu warszawskiej wystawy.

To dobrze, że pan ambasador przyszedł i wygłosił przemówienie, w którym wskazał na winę i odpowiedzialność Niemców za wojenne zbrodnie na Polakach. Na prywatnym spotkaniu z potomkami zamordowanych przeprosił ich. Na twarzach tych ludzi można było dostrzec, że to miało dla nich wartość. Doceniamy te słowa, ale tak, jak powiedział na otwarciu naszej wystawy wicepremier Piotr Gliński – słowa to za mało. Potrzebne są czyny. We wrześniu 2019 r. w samym sercu Berlina, tuż przy Bramie Brandenburskiej, utworzyliśmy oddział naszego Instytutu, z wystawą poświęconą Witoldowi Pileckiemu. Jak dotąd nie odwiedził go żaden wysoki rangą polityk niemiecki. Czekaj nas jeszcze dużo pracy. ©

–rozmawiał Michał Pociński

ANETA WAWRZYŃCZAK

Oprócz upamiętnienia miejsc pochówku, wystawy i publikacji równie ważna jest integracja rodzin „Zawołanych po imieniu”. Przy pierwszych spotkaniach dzieci pomordowanych rodziców nawet nie mogły wydusić z siebie słowa. Dziś po raz pierwszy są w gronie ludzi, wśród których nie czują się obco.

ODWRÓCIĆ WYROK ŚMIERCI

Lucyna Radziejowska trafiła do Auschwitz. Według zawiadomienia przesłanego córce zmarła tam na tyfus. Marianna, Leon i Stefan Lubkiewiczowie zginęli na własnym podwórku, wcześniej byli bici, łżeni, kopani. Aleksandra Skłodowska została zastrzelona od razu, w swoim łóżku, jej syn Hieronim też, ale po torturach.

Ich „zbrodnią” było to, że pomagali Żydom. Nawet niekoniecznie ich ukrywali (w stodole, na strychu, w piwnicy), wystarczyło, że przemycili im jakiś koc czy pierzynę, coś do ubrania, bochenek chleba. Wystarczył jeden donos, by ich świat legł w gruzach.

– W tych historiach tylko Żydzi giną szybko, Polacy są łżeni, upokarzani, katowani, śmierć następuje dopiero po wielu godzinach. Zdarza się, że członkowie rodziny giną na raty – wyjaśnia prof. Magdalena Gawin, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego, inicjatorka projektu „Zawołani po imieniu”, który ma upamiętnić Polaków zamordowanych za pomoc Żydom.

W Talmudzie są dwa zdania, które przywołuje się często jako prawdę uniwersalną. Pierwsze brzmi: „jeśli człowiek niszczy jedno życie, to jest tak, jak gdyby zniszczył cały świat”, drugie jest jego lustrzanym odbiciem: „jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak, jak gdyby uratował cały świat”.

Długo zastanawiam się, czy w tym przypadku ma ono jakikolwiek sens. A jeśli ma, to jaki jest w końcu po tym wszystkim świat: zniszczony czy jednak uratowany? Moje wątpliwości rozwiewa prof. Gawin. – Żyjemy w ułomnym świecie, bo sami jesteśmy ułomni. Ale tamci ludzie ratowali fundamentalne wartości w najczarniejszych czasach historii. Dlatego podczas upamiętnień powtarzamy chrześcijańską formułę, że jeśli ktoś umrze za niewinnych, to śmierć cofnie swój wyrok. Przywracając o nich pamięć, cofamy wyrok śmierci.

Gdzie mama? Idź po nią

Wieś Płatkownica w powiecie węgrowskim. Podczas niemieckiej okupacji bezpiecznego miejsca szuka tu Wincenty Radziejowski, mjr rezerwy 27. Pułku Ułanów w Nieświeżu – dla siebie i swojej rodziny: żony Lucyny, nastoletniego syna Mirosława i kilkuletniej córki Anny Danuty. Już wcześniej zostali przesiedleni na Polesie, Radziejowski na wojnę wyruszył z Ostrołęki, z kampanii wrześnieowej wrócił szczęśliwie wraz z koniem. Chwilę mieszkali w Ostrowi Mazowieckiej, w końcu osiedli właśnie w Płatkownicy, w jednym z opustoszałych ponemieckich domów. – Tata bardzo lubił gospodarzyć, więc mu się



BABCIA BYŁA CHORA, LEŻAŁA W ŁÓŻKU, MAMA PO NIĄ POSZŁA, ŻEBY SIĘ UBRZAŁA, ALE POWIEDZIELI, ŻE ONI SIĘ NIĄ ZAJMĄ. ZASTRZELILI JĄ NA MIEJSCU. WOBEC OJCA NIE BYLI TACY ŁASKAWI, KATOWALI GO NIEMIŁOSIERNIE

Cecylia Tomczuk



Dotąd upamiętnionych zostało 36 „Zawołanych po imieniu”, a poszukiwania wciąż trwają

tam podobało. A przede wszystkim myślał, że go stamtąd nie zabiorą do obozu jenieckiego – opowiada jego córka Anna. – I dobrze by było, gdyby go zgarnęli, bo z oflagu oficerowie na ogół wracali...

Los chce inaczej, w 1941 roku u ich bram staje zbieg z obozu dla żołnierzy sowieckich w Grądach. – Dużo jeńców stamtąd uciekało, do nas trafił ten chłopak, nic ze sobą nie miał, tylko mundur, w którym został wzięty do niewoli. I tata go do nas przyjął – mówi pani Anna. Chłopak nazywa się Wołodia Kołtunow, ma 18 lat i tyfus. Wkrótce zaraża się od niego cała rodzina. – Nie wiem, jak tata zdołał nas wyżywić przez ten czas, był naszym jedynym opiekunem.

Wincenty, który nigdy nie chorował, umiera w grudniu 1941 roku. Na cmentarz w Ostrowi wuj pani Anny przewozi trumnę wozem drabiniastym, pod osłoną nocy. Tyfus panuje już w całej okolicy. Syn Mirosław zdrowieje, ale też zaraz przepadnie. Ze stacji, gdzie jedzie zawieźć kontyngent kartofli („bo Niemcy wymagali”), zostaje zgarnięty na roboty przymusowe, trafia do fabryki cukru, skąd będzie przesyłał rodzinie paczki. Lucynie też udaje się wykaraskać, Wołodia prowadzi ją dookoła stołu, uczy chodzić na nowo, bo tak w chorobie osłabła. I nagle znika, do dzisiaj nikt nie wie, co się z nim stało. A później przychodzi lipiec 1943 roku.

– Mam przed oczami ten obraz, gdybym miała jakieś zdolności plastyczne, tobym go pani namalowała. Ten, który skończył moje życie jako dziecka – mówi pani Anna. Obraz wygląda tak: ma

niespełna 12 lat, jest w domu sama (mama pojechała do sołtysa oddać kontyngent jajek), niczego się nie spodziewa, niczego nie słyszy, ani podjeżdżających samochodów, ani krzyków. Tak po prostu wchodzi do kuchni i zamiera. – Patrzą: stoi niemiecki oficer, wokół żołnierze z karabinami, pośrodku kobieta, w okularach, wysoka, ruda, obok chłopak z czarnymi włosami. Któryś z żołnierzy mówi do niego: „Jude?”, on przytakuje, do mnie zwraca się po polsku: „Gdzie mama? Idź po nią”.

Anna ma iść z obstawą, bardzo się boi, zaczyna płakać. Już widzi mamę, najpierw na ganku, za chwilę, jak wchodzi do kuchni i staje sparaliżowana, później dwaj policjanci, tak zwani granatowi, biorą ją do pokoju, żeby się ubrała. – Włożyła bardzo elegancki płaszcz, który przesała jej siostra z Gdyni, tak do nas wyszła. Ale nic nie powiedziała, nawet na mnie nie spojrzała. Mam wrażenie, że bała się jakiegoś napięcia, że ja się rozplaczę, ona też i nas razem zabiorą. Ale mnie zlekceważyli, może choć trochę ludzki był ten oficer, że mnie nie wziął? Tylko dlatego przecież do dzisiaj żyję.

Anna jeszcze wybiega na szosę, może choć na odchodnym zobaczy mamę. Nie ma ani śladu. Później z sąsiadką jedzie do Sokołowa, tam właśnie osadzono Lucynę Radziejowską i męża sąsiadki. Za co? Pani Anna nie wie. Znow się spóźnia, mamę wywieziono już na Pawiak, dalej do Auschwitz. Później przychodzi jeden jedyny list, mama w nim instruuje, gdzie Anna ma szukać pieniędzy (nie znajdzie). A później zawiadomienie: Lucyna Radziejowska zmarła 20 marca 1944 roku na tyfus.

– A pochówek? Na stosie – mówi pani Anna. – Mama miała schorowany żołądek, kiedyś mówiło się na to katar kiszki. Była ciągle na diecie, czarnego chleba nigdy za bardzo nie tolerowała. Przypuszczam, że dlatego nie dała rady.

Nawet ćwiartkę zboża zemleć

Sadowne w powiecie węgrowskim, mieszka tu rodzina Lubkiewiczów. Małżeństwo Marianna i Leon mają piekarnię. Żyją spokojnie do stycznia 1943 roku, wtedy wieś najeżdżają niemieccy żandarmi, szukają ukrywających się Żydów. Ci faktycznie pochowali się w okolicy, po krzakach czy ziemiankach. Wśród nich są Czapkiewiczówna i Elizówna, to im późnym popołudniem 13 stycznia Marianna Lubkiewicz przekazuje chleb. Nie po raz pierwszy, ale ostatni. Żydówki zostają rozpoznane i rozstrzelane na miejscu, z Lubkiewiczami żandarmi rozprawiają się później, w ich własnym domu.

Najmłodsza ich córka Irena zapamięta jedno nazwisko: Schultz. W liście wysłanym do Żydowskiego Instytutu Historycznego ćwierć wieku później opowie: „Strasnie się znecał nad moją rodziną; brata, który był zdolny do nauki i grał ładnie na akordeonie, odwracał do ściany i bił, kopał bez żadnej litości. Ojca bił pięścią po twarzy, (...) popychał go i kopał”.

O dziesiątej wieczór nadchodzi koniec tortur, żandarmi wyprowadzają Mariannę, Leona i syna Stefana na podwórko, tam padają strzały. Irena: „Mnie zostawili jako małoletnią, ale cóż z takiego życia, skoro odebrali mi zdrowie i chęć do życia”.

Po jej śmierci strażnikami pamięci o zamordowanej rodzinie stają się jej dzieci, w tym jej córka Teresa Olton. – Odkąd pamiętam, ta historia cały czas u nas w domu była. Pytaliśmy, czemu nie mamy dziadka i babci z jej strony, a ona o wszystkim opowiadała. Mnie się to wtedy wydawało zupełnie niemożliwe – wspomina pani Teresa.

Co jeszcze wiadomo? Ze Lubkiewiczowie przynajmniej z częścią Żydów, którym pomagali, znali się już wcześniej, chociażby tylko z widzenia. Ze chleb był na kartki, skrupulatnie wycieczony, nie można było używać ponad normę młyną i żaren, więc Stefan po kryjomu na małym młynku potrafił nawet ćwiartkę zboża zemleć, żeby był też chleb dla tych w ukryciu. Ze zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli odmówią, to tamci z głodu pomierają.

Po śmierci Lubkiewiczów, już po wojnie, chodziły różne plotki. Na przykład, że ktoś doniósł. Albo że brali za pomoc pieniądze, złoto, jakieś kosztowności. – Pani wie, ludzie są złośliwi. Mamę to bardzo denerwowało, mówiła: żeby widzieli, jak oni w oczach tego chleba łaknęli... To się w głowie nie mieściło.

To była pokazówka, przestroga

Styczeń 1944 roku, we wsi Skłody-Piotrowice mieszka rodzina Skłodowskich: Hieronim z żoną Amelią, siostrą Apolonią, matką Aleksandrą i czwórka dzieci. Czteroletnia Cecylia nie rozumie, co się dzieje, gdy do domu wpadają niemieccy żandarmi, krzyczą i szarpiają. W międzyczasie ściągają ludzi z okolicznych wsi, ustawiają przed stodołą, każą wynosić zboże.

Wśród nich jest Tadeusz Karpiński, rolnik z miejscowości Świerże-Kończany, w 1980 roku przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich zezna: „Po wyniesieniu pewnej ilości zboża zobaczyliśmy, że [w] rogu zasieku znajduje się kryjówka. Było to miejsce odgródzone od zboża deskami, w którym mogło pomieścić się kilka osób. (...) Z kryjówki tej po odchyleniu desek można było wydostać się na zewnątrz. Gdy żandarmi przyprowadzili Skłodowskiego, Amstkommissarz pokazał mu kryjówkę, a potem wyprowadził go ze stodoły. Po paru minutach usłyszałem strzał pochodzący z za zabudowań gospodarczych Skłodowskiego. Kto do kogo strzelał, tego nie widziałem”.

Widziała za to Cecylia, ten obraz pamięta aż za dobrze – gdy rozmawiamy, znów staje jej przed oczami. – Babcia była chora, leżała w łóżku, mama po nią poszła, żeby się ubrała, ale powiedzieli, że oni się nią zajmą. Zastrzelili ją na miejscu. Wobec ojca nie byli tacy łaskawi, katowali go niemiłosiernie, żeby wymusić informację, gdzie uciekli Żydzi. Nie powiedziała, ale i tak nie wiedział. Tyle że dzień wcześniej ktoś mu przekazał: „gość popił w knajpie, wygrażał się, że wszystko wygada, jeśli ktoś u ciebie jest, niech szybko się wyniesie”. I tak się stało, a na drugi dzień przyjechali Niemcy, zabili ojca i babcię – opowiada pani Cecylia. I dodaje: – To była taka pokazówka, przestroga. Mnóstwo ludzi ściągnęli, żeby patrzyli, co im grozi za ukrywanie Żydów.

Pan Bauer, dobry znajomy Skłodowskich, może nawet przyjaciel, świetnie mówił po niemiecku, przekonał

żandarmów, żeby dzieciom odpuścili. – Nie wiem, jak namówił komendanta, żeby nas tylko zabrać do więzienia. Byliśmy tam dwanaście dni, warunki, wiadomo, nie były przyzwoite, ale nie pamiętam, żeby ktoś na nas krzychał czy nas uderzył, nic z tych rzeczy.

Tadeusz Karpiński: „Po ich odjechaniu weszliśmy do mieszkania, aby zobaczyć, co się tam wydarzyło. W mieszkaniu na łóżku leżała martwa matka Hieronima Skłodowskiego, a w okolicy łóżka była spora kałuża krwi. Zaraz opuściłem mieszkanie wstrząśnięty tym widokiem. Następnie z kilkoma osobami, które nosiły zboże, poszedłem za zabudowania gospodarskie w stronę, skąd słyszałem strzały. Blisko ściany chlewa leżały zwłoki Hieronima Skłodowskiego”.

Czego się pani spodziewa...

Skłodowscy, Lubkiewiczowie, Radziejowska i inni, łącznie 36 osób, zostali „zawołani po imieniu”. Zaczęło się od poszukiwań w dostępnych publikacjach i archiwach, tam zespół historyków wyszperał losy Polaków, którzy zginęli, ratując Żydów. Później rodziny zamordowanych zaczęły zgłaszać się same, nierzadko to mieszkańcy miejscowości, gdzie doszło do tragedii, informują: byli u nas tacy ludzie, pomagali Żydom, wszyscy zginęli, trzeba ich jakoś upamiętnić. – Punktem wyjścia zazwyczaj są protokoły zeznań świadków i członków rodzin, składane w latach 60. i 70. przed Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich. Następnie szukamy relacji żydowskich w Żydowskim Instytucie Historycznym i Instytucie Jad Waszem w Jerozolimie – wyjaśnia Agnieszka Dąbek, naukowa koordynatorka projektu.

Dokumentów jest sporo, często jednak nie przeżył nikt z ratowanych i wtedy pojawia się problem. Przynajmniej dla Jad Waszem, bo instytut wymaga relacji żydowskiego świadka, a ci zginęli, i dokumentów, zeznań, pamiętników, które nie ocalały. – Wciąż zastanawiam się, dlaczego jest z tym kłopot. Na podstawie tego,

(pani Teresa w nim mieszka), jest też piekarnia, tyle że nieczynna. – Ale nie było chęci, a bo to tyle dokumentów, to kłopot, na co to komu?

O historii pani Anny dowiedział się z kolei znajomy prokurator, wysłał karteczkę, kazał zgłosić się z nią do prokuratury. – Przyjechałam, usłyszałam: „Czego się pani spodziewa?”. Powiedziałam, że niczego. I wyszłam.

Dopiero pod koniec lat 80. zeznała: „Nie wiem, w jakich okolicznościach doszło do udzielenia pomocy tym ludziom, a to dlatego że matka moja nie wtajemniczała mnie w to, jak też nie wiem, skąd Niemcy dowiedzieli się o tym. Przypuszczaliśmy tylko, że o pobycie tych dwóch osób w naszym domu mogła zawiadomić żandarmów mieszkanka jednego z gospodarstw tej kolonii, która była volksdeutschką, czy też Niemką. Nie wiem, co się stało z tymi Żydami”.

W przypadku rodziny Skłodowskich z wnioskiem o medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata już dawno temu wystąpiła Komisja ds. Badania Zbrodni Hitlerowskich. – Ja nie zajmowałam się tą sprawą, zeznawali moja siostra i brat. Ale nic z tego, bo to Żyd musiałby zaświadczyć, że został uratowany. A tych, których ukrywali moi rodzice i babcia, nie udało się odnaleźć. Wiadomo, że uciekli, nie wiadomo, czy przeżyli – mówi pani Cecylia. I dodaje: – Ja bym nawet nie chciała, za bardzo by mi to przypominało te wszystkie przeżycia.

To pozostanie tajemnicą

Mama Teresy Olton zamknęła się w sobie, tylko co roku, 13 stycznia, chodziła sama na miejsce rozstrzelania. – Myślę, że nie było dnia, by o tym nie myślała. Bardzo dużo się modliła, chyba to jej pomagało. Jakoś przetrwać, w ogóle dalej żyć – mówi.

Pani Anna pamięta, że po aresztowaniu mamy tkwiła długo w otępieniu. Wtedy, gdy przyszedł po nią sąsiad i zabrał do swojego domu. Gdy przyjechał wuj wozem i zawiózł do siebie, do Ostrowi. Gdy schorowana babcia, już przykuta do łóżka, długo płakała. – Cios to był dla



Pierwszy zjazd rodzin „Zawołanych po imieniu” odbył się w listopadzie 2019 r. w Broku

co odkryliśmy, będziemy starać się o odznaczenie „Zawołanych” także medalami Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, ale w tym momencie jest to bardzo trudne – dodaje.

Ale i wcześniej takie było. Na własnej skórze doświadczyła tego mama pani Teresy, śląc w tej sprawie pisma. – Nie od razu po wojnie, bo nas było czworo, więc trzeba się było zająć nami i domem. Ale od lat 60. już się tym zajmowała. Tylko wtedy nie było, jak to się mówi, sprzyjających okoliczności. Była odganiana jak natarczywa mucha – wyjaśnia. Sama, już długo po upadku komuny, starała się choćby o nazwanie jednej z ulic w Sadownem imieniem dziadków i wuja. W końcu dalej stoi ich dom

mnie ciężki, nie wiedziałam, co ze mną będzie. Ale przyjaźnie mamy zaprocentowały, znaleźli się życzliwi ludzie. Tylko... – tu po raz pierwszy i ostatni podczas naszej rozmowy łamie jej się głos. – Miałam tylko żal, że mi mamę odebrali. Ze wszyscy mają, a ja jedna nie.

Razem z tym żalem na głucho zatrzasnęła w sobie historię rodziny. – Tylko jak składałam podanie na studia, musiałam opisać, dlaczego nie mam rodziców. Poza tym nikt nie wiedział, nikomu nic nie wspominałam. Nie ze strachu, po prostu zawsze mnie powstrzymywało niewyczuwanie tej tragedii przez innych.

Cecylia Tomczuk opowiada, że jej mama nigdy się nie żaliła, była nad wyraz spokojna, zamknięta, nawet lekarz jej mówił, jak zaczęła chorować: „Sama pani sobie szkodzi, trzeba się wykrzyzczyć, wypłakać”. Nie wykrzyzczała, przyplącała to zdrowiem i życiem, miała raptem 56 lat, gdy zmarła. Sprawca donosu na jej rodzinę, dożył dziewięćdziesiątki. – Jego ojciec przychodził do nas bardzo często, prosił: „Niech mu pani wybaczy”. Bo mama mogła się zemścić, podpisać zeznanie, wtedy musiałby za to zapłacić. Ale stwierdziła: „Moje dzieci są sierotami, on też ma dzieci, co mi to da, że zostaną bez ojca?” – opowiada.

Ona sama żal miała później, jak chodziła do szkoły. Do rodziców, dlaczego tak ryzykowali. – Potem ktoś mi powiedział, że jak pytał o to ojca, to powiedział: „Przecież to też są ludzie”. Wtedy ich zrozumiałam, nie można było wypędzić człowieka – wyjaśnia. O swoim milczeniu mówi z kolei tak: – Pani minister powiedziała, że myśmy byli wcześniej zakneblowani. I ma rację, to zawsze był temat tabu. Państwo też się tym nie interesowało, nie w sensie materialnym, tylko ogólnie, żeby ktoś cokolwiek chciał wiedzieć. Myśmy więc nauczyli się nic nie mówić.

Co kierowało „Zawołanymi”, by położyć na szali życie własne i najbliższych, ratować czasem znanych, a czasem obcych ludzi? Człowiek w sposób naturalny przedkłada bezpieczeństwo swoich najbliższych i rodziny nad dobro innych. – „Zawołani” swoim postępowaniem przekroczyli ten porządek, za co należy im się szczególna pamięć i głęboki szacunek – podkreślał wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński na otwarciu warszawskiej wystawy im poświęconej. Ale dodał, że taka postawa nie mogła być masowa: – Terror niemiecki i specjalne ustawodawstwo paraliżowały odruchy ludzkiej solidarności.

Czy więc „Zawołani” zatarli instynkt samozachowawczy? Pytam prof. Gawin. – Ich siła i motywacja pozostaną do jakiegoś stopnia tajemnicą – mówi wiceminister. Pani Teresa dodaje: – Ja uważam, że to wynikało z wiary chrześcijańskiej. A oni byli bardzo gorliwymi katolikami, po prostu wiedzieli, że trzeba głodnego nakarmić.

O motywacji „Zawołanych” mówi również Agnieszka Dąbek. – Z prowadzonych przeze mnie rozmów z rodzinami pomordowanych wynika, że nie zastanawiali się nad tym, dlaczego narażają życie swoje i swoich bliskich. Tak po prostu należało postąpić, pomóc drugiemu człowiekowi – wyjaśnia.

Daremna śmierć?

Teresa Olton: – Ile jest takich historii, że nikt o tym już nie wspomina, nie ma rodziny, nikt nie przetrwał? Jakies 20 lat temu jeszcze by się dało to wszystko odtworzyć, żyli ludzie, pamiętali. A teraz? Coraz trudniej o to, nieraz może ktoś coś od rodziców czy dziadków słyszał, ale żeby znać konkrety?



„»Sprawiedliwych« na świecie jest bardzo dużo, natomiast czymś innym było ratować Żydów w Polsce, a czymś innym we Francji czy Holandii – **ta wystawa odpowiednio pokazuje różnice**” – mówiła na otwarciu prof. Magdalena Gawin

Jak dotąd upamiętnionych zostało 36 „Zawołanych”, a poszukiwania wciąż trwają. – Wstępne badania pokazują, że może chodzić nawet o tysiąc osób, których historie możemy jeszcze odkryć – szacuje Agnieszka Dąbek. Przyznaje jednak, że czas nagli. To ostatni dzwonek, by wyłuskać te historie na powierzchni zbiorowej pamięci. – Często słyszymy, że to fantastyczny projekt, ale powinien być rozpoczęty 10–20 lat temu. I rzucając się, coraz trudniej o naocznych świadków, przypadki, do dziś żyją dzieci zamordowanych, są jednostkowe.

Gdy udaje się połączyć archiwa i ludzką pamięć, dochodzi do upamiętnienia: jest msza i uroczyste odsłonięcie pomnika, w miejscowych szkołach dzieci uczą się o lokalnych bohaterach, którzy w pewnym sensie odżywają. Jak mówi prof. Gawin: – Udało nam się odwrócić wyrok śmierci.

To dlatego oprócz upamiętnienia, wystawy i publikacji równie ważna jest integracja rodzin „Zawołanych”. – Przy pierwszych spotkaniach dzieci pomordowanych rodziców miały kłopoty z opowiadaniem swoich historii. Niektórzy po latach dowiedzieli się, jak naprawdę się nazywają, poznawali swoje rodzeństwo i dowiadywali się, za co zginęli ich rodzice – wyjaśnia wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego. I dodaje: – Po pierwszym zjeździe rodzin „Zawołanych” otworzyli się. Córka państwa Skłodowskich, która na upamiętnieniu nie mogła wydusić z siebie słowa, po kolejnych spotkaniach i otwarciu wystawy pochwaliła się: „Udzieliłam już dwóch wywiadów”. Rodziny uczą się publicznie mówić o swojej historii.

Cecylia Tomczuk przyznaje, że „na ten temat nigdy się nie rozmawiało”. – Musieliśmy to przeżyć, żeby się w końcu otworzyć. Teraz rozmawiamy, spotykamy się, opowiadamy o sobie, jak to było. Ale nie wiem, czy to jest dla nas dobrze czy źle. Bo to jednak rozgrzebywanie ran. Choć muszę przyznać, że na początku było gorzej... – wspomina i dalej opowiada, jak przyszło jej przemó-

wić na odsłonięciu kamienia ku pamięci jej rodziców. – Zgodziłam się od razu, tyle lat minęło, co to za problem? Ale wyszłam na środek i mnie zamurowało. Powiedziałam tylko: dziękuję. I się rozplakałam.

Agnieszka Dąbek wyjaśnia, że podobne traumy jak u ocalałych Żydów można zaobserwować u „Zawołanych”. – Nierzadko ich dzieci czy wnuki całymi latami nie mieli pojęcia, co się wydarzyło. To przykład chociażby z Twork, gdzie pan Krasuski dopiero w latach 70. dowiedział się od obcych osób, że jego ojciec miał żonę i syna, którzy zginęli za pomaganie Żydom. Ale ojciec chciał o tym zapomnieć, jakoś ułożyć sobie życie na nowo.

Po co upamiętniać, stawiać pomniki, wołać po imieniu, mówić o tych ludziach i pisać, przecież życia im to nie przywróci? Agnieszka Dąbek: – Chociażby dlatego, że wykazali się niesamowitą odwagą i mogą być dla nas wszystkich wzorem do naśladowania, bo nawet w tak ekstremalnie trudnych czasach zachowali swoje wartości. Dla mnie osobiście najważniejsze jest to, że ich potomkowie mogą w końcu odetchnąć z ulgą, bo zdołali opowiedzieć ich historie na głos, doprowadzić do ich upamiętnienia, zawołać po imieniu.

Prof. Gawin: – W polityce PRL nie było miejsca dla tych ludzi. Sprawcy w Niemczech w większości nie byli nawet ścigani. Dlatego tak ważne jest, żeby dziś pamiętać. I żeby nadać głębszy sens tamtej śmierci. Wojciech Stanisławski napisał bardzo ładną recenzję wystawy o „Zawołanych”. Wiele rzeczy wychwytał dobrze, ale kończy stwierdzeniem o „daremnej śmierci”. Nie zgadzam się z tym. Nie tylko dlatego, że śmierć za drugiego człowieka ma głęboki teologiczny sens, bo obydwoje jako chrześcijanie to wiemy. Nie zgadzam się z tym stwierdzeniem, bo kwestionuje to w poważnym stopniu naszą całą historię. Czy powstanie warszawskie było daremnym zrywem? Nie, takie doświadczenia, traumatyczne, tragiczne, budują naszą tożsamość i są źródłem siły. ©

—Aneta Wawrzyńczak

Wystawa Zawołani po imieniu/Called by name już otwarta!
Przestrzeń wystawiennicza w domu Bez Kantów,
ul. Krakowskie Przedmieście 11, Warszawa
Czynna 7 dni w tygodniu w **godz 10.00 - 18.00, wstęp wolny.**

**ZAWOŁANI CALLED
PO IMIENIU BY NAME**